

Takie czasy...

Jacek A. Chorzewski

Maćkowi Winiarskiemu,
był ze mną w tym sklepie

Brzęczenie małych skrzydełek z początku zawsze bywa ignorowane. Teraz też tak miało być... ale jednak nie, nie tym razem. Dentystyczne wiertło wirowało między sklepowymi półkami. Polowało na swoją zdobycz, którą akurat przysłoniła sterta kukurydzy w puszkach. Nieważne. Bezbronna głowa za chwilę, za momentik miała pojawić się naga, odsłonięta i kusząca.

Mały ignorant przycupnął na zgrzanym brzegu paczki z karmą dla psa i, nic nie robiąc sobie z obleśnych rysunków na niej i sąsiednich opakowaniach, czekał. Siedział tam i prężył chude nóżki, gotowy do skoku. Skupiony do granic możliwości i mimo wszystko. Mimo całego smrodu barwionej, odświeżanej, pokrywanej błyszczącymi maziemi, skrapianej sztucznymi zapachami i pompowanej wodą żywności.

Pierwsza pojawiła się łysa głaca. Gładka powierzchnia pozbawiona jakiegokolwiek zmarszczki ściągała na siebie światło wszystkich jarzeniówek. Odbijały się w niej jak lampy w dachu samochodu przejeżdżającego przez tunel. Przesuwały się od brwi, przez wysokie czoło, płaskie ciemie, aż po dziwnie wybrzuszoną część potyliczną, gdzie zamieniane były w rozmazane i coraz mniej widoczne wężyki. Ginęły zaraz potem i znikwały, zastępowane kolejnymi.

Jeszcze chwila, kilka kroków i cierpliwość małego drania zostanie nagrodzona. Jeszcze jedna sekunda, jeden oddech. Ostatnie skupienie na celu i taktyce podejścia. Cienkie nóżki ugięły się i wystrzeliły z nadnaturalną mocą; wyprostowane drżały w powietrzu jak zbyt mocno szarpnięta struna. Furkot pary skrzydełek. Nim ułożyły się pod odpowiednim kątem do nacierających na przezroczyście powierzchnie strug powietrza, gięte falowały jak najgłośniejsza peleryna szyta na mikromiarę. Stalowe mięśnie wyprostowały całą siłową konstrukcję rusztowań z niewielkich żyłek. Dwa przezrocza zaczęły szamotać się wściekle, a moc ich była praktycznie nie do okiełznania dla irytatora. Drobne zmiany w kursie i czasie wliczone w taktyczne podejście to nic nowego dla pana skurczybyka. Nie pierwszy raz atakował i nie pierwszy raz stawiał czoła własnej sile. Był coraz bliżej.

Błądny wzrok wielkiej głowy wędrował z jednej półki na drugą, od lewej strony na prawą. W naszych czasach kupno żarcia dla psa to nie takie znowu „nic”. Coraz mocniejszy zapach ludzkiego potu oznaczał zbliżanie się do punktu przyjemności. Tętniąca gorącą strawą szyja wibrowała w maleńkich ślepiach. Większa i większa, w końcu osiągalna, i proszę! Trafiony, zatopiony! Lekko +

wilgotna i trochę klejąca. Parowała cudownym ciepłem i emanowała dosłownie obezwładniającą wonią krwi. Chwila zadumy nad osiągniętym sukcesem oraz zbliżającym się koncertem smaków. Zgięcie nóżek, wychylenie w przód i zanurzenie małej ssawki w rowek w skórze. Czerwona wilgoć była wyczuwalna na końcu małej rurki. Układ ssąco-tłoczący załączył się, a komar odpływał w ekstazie. Bach! Gruba ręka jak nie jebnie! jak komara nie zgniecie i nie rozsmaruje! Czerwona plamka na szyi i zielona na dłoni pospiesznie i z obrzydzeniem wytartej w nogawkę spodni.

Mężczyzna-zabójca szedł pospiesznym krokiem w stronę kas. Koszyk miał pełen, dlatego był przechylony w prawą stronę, bo i w prawej ręce trzymał koszyk. Od czasu do czasu, a w zasadzie co krok, plastikowa krawędź nieporęcznego nosidła uderzała o udo, odskakując, wypychana nogą. Człowiek doszedł do kasy. Stał w kolejce i czekał. Dlaczego wieczorem, gdy większość normalnych ludzi ma czas i właśnie teraz robi zakupy, zostawia się na kasie jedną pracownicę? Kolejka rośnie, a wraz z nią poziom irytacji. Kropla potu spłynęła po skroni mężczyzny, który nic sobie nie robił z tego, że zabił.

– Myślisz, że mamy wszystko? – za plecami zmordowanego i niewinnego człowieka zabrzmiał piskliwy głos.

– Eee...

– Chyba mamy wszystko – posiadaczka piskliwego głosu nie słuchała odpowiedzi, a może nawet jej nie oczekiwała. Zapytała, bo lubiła przed kasą przeliczać, wymieniać, odczytywać nazwy kupionych przedmiotów. Po co? Niech słyszą, że ONA robi zakupy! No przecież! – Mleko, jajka, ser, szynka, kiełbasa, woda niegazowana, gazowana też, soki, masło, sól, kurczak, przyprawy. Zaraz, przyprawy... – zawiesiła głos nadzwyczaj głośno. – Mamy paprykę?

– Eee...

Przerzuciła kilka paczek, poszeleściła i powzdychała nad wózkiem.

– O Jezu, jakie szczęście, jest – odrzekła z ulgą, przypominającą tę towarzyszącą wiadomości, że jednak nie masz HIV. – To mamy wszystko.

– Może pani nie wjeżdżać wózkami w moją dupę? – mężczyzna przed nią, czyli nasz morderca, nazwijmy go Stefan, odwrócił się do niej i zagaił dość porytowanym głosem.

– Słucham? – zapytała.

Stefan wcale nie był nerwowy, ale ile razy można próbować zaparkować w czymś zadku wózkami z zakupami? Pierwszy, drugi, trzeci, a nawet szósty i siódmy Stefan mógł zignorować, i tak właśnie robił. Starał się nie koncentrować na swoich nogach, tyłku i metalowej konstrukcji uderzającej w nie co chwilę.

– Uderzyła mnie pani wózkami.

– O Jezu! Jaki wzburzony! Przepraszam! – minę zrobiła nietęgą, mimo że Stefan wcale nie śmierdział nawozem, a i specjalnie brzydki nie był.

– Dziękuję – Stefan odwrócił się plecami do baby i postanowił nie reagować na kolejne uderzenia. Ledwo wytrzymał, bo babsko miało gdzieś panowanie nad zakupowym pojazdem.

Stefan myślał o pikaniu maszyny odczytującej kody kreskowe. Pik, coś tam, pik, coś tam coś tam, pik, coś tam coś tam coś tam.

– Czterdzieści czydzieści...

Maszyna i jej pikanie, babsko i jej wózek, ludzie i kolejka, Stefan, on sam i jego nerwica. Rozglądał się tępo jeszcze przez chwilę.

– Czterdzieści czydzieści – powtórzył się głos z dziwnym chrząknięciem.

– Słucham? – zapytał Stefan wyrwany z krainy zawieszenia.

– Za zakupy. Czterdzieści czydzieści – kasowa powtórzyła raz jeszcze. Logiczne, że jej się nie chciało, bo, spójrzmy prawdzie w oczy, komu by się chciało?

– Tak, tak, już płacę – Stefan otworzył portfel pospiesznie i wyłuskał z niego dwa banknoty. Dwudziesto- i dziesięciozłotowy. Po szybkiej kalkulacji doszedł do wniosku, że musi naruszyć nienaruszalne zasoby tzw. miedziaków. Z cichym kliknięciem otworzył kieszonkę zamykaną na zatrzask. Wysypał zawartość na metalowy blat. Brzdęk lądujących na nim monet nie był optymistyczny – za mało ich spadło.

– Dwa, dwa pięćdziesiąt, trzy – głośno liczyła ekspedientka, przesuwając monety po blaszanej powierzchni. Metal tarł o metal, a więc i lekki hałas był obecny. Stefan czuł się głupio. – Brakuje dwóch złotych – odrzekła po kilkudziesięciu sekundach i kilkunastu wywołanych na głos sumach.

– To ja odniosę mleko – Stefan sapnął ze wstydem i złapał za butelkę.

– Daj pan spokój – krzyknął ktoś z połowy kilkunastometrowej kolejki. – Ile ci, panie, brakuje?

– Dwa złote – odrzekł ktoś, kto stał bliżej Stefana.

– Ode mnie masz pan pięćdziesiąt groszy – powiedział mężczyzna z połowy kolejki i przekazał srebrną monetę osobie stojącej przed nim. Ta kolejnej, aż w końcu moneta dotarła do Stefana. Gdy wspaniałomyślny darczyńca zobaczył, że pieniążek trafił do adresata, zawołał: – Trzymaj pan i kombinuj resztę, bo nie mamy czasu!

– Yyy, dziękuję – odpowiedział Stefan i nim dodał coś więcej, ktoś krzyknął: – Dobra, to ode mnie złotówka! – Trzymał monetę w palcach. Podniósł ją tak, by wszyscy widzieli, że nie kłamie. – No, ludzie, dorzućcie facetowi, bo zanim odniesie mleko i tu wróci, to nam sklep zamkną.

Ludzie się poruszyli. Zaczęli pytać „ile jeszcze?” i szperać w portfelach i po kieszeniach. W tej samej chwili, gdy Stefan starał się patrzeć w wytarte czubki butów albo liczyć kafelki – wszystko, tylko nie spojrzeć ludziom w oczy – dwóch facetów przechodziło obok niego. Dwóch, a może jeden. Stefan nie był do końca pewien, bo szli w taki sposób, że widoczny był tylko ten bliżej kasy. Szedł powoli, wymachując luźno ręką i pogwizdując. Drugi musiał być początkowo za pierwszym, potem przyspieszał tak, że na wysokości kasy się zrównali, a potem, utrzymując przyspieszone tempo, wyprzedzał kolegę. Dzięki temu szli po jednej linii w stosunku do kobiety pracującej na kasie. Ok, tylko po co? Kilka sekund później wszystko było jasne. Antyżłódziejskie bramki zabipczwały głośno, a dwóch kolegów-cwaniaczków szybko wybiegło z kilkudziesięciolowym +

telewizorem. Ludzie zbiegli się przy wyjściu. Nie wiadomo po co, bo przecież sprawcy uciekli, ale ludzie i tak wpatrywali się w tych w sklepie, jakby mieli nadzieję, że może jednak któryś z klientów to złodziej. Może zapomniał czapki i wróci po nią, a oni, odważni ludzie o nienaganej moralności, złapią szmacciarza?

Stefan pakował swoje zakupy do ekologicznej torby. Spostrzegł czerwoną twarz. Nie twarz, a mordę. Głowę z włosami w nieładzie, wąsami posklejanymi i bordowym od alkoholu ryjem. Wysuszony do granic możliwości mężczyzna szedł z dziwnie wyciągniętymi ramionami. Wykorzystywał zamieszanie i w każdej ręce trzymał skrzynkę wódki. Szedł pokracznie, bo woda już dawno zżarła jego mięśnie i umysł. Starał się straty siły nadrobić wyciąganiem głowy w przód, czym przypominał młodego, nieopierzonego ptaka, może nawet głuptaka. Kołysał się na boki, człapiąc jak pozbawiony czucia i umiejętności chodzenia. Porządnie zalał robaka. Trwałe zmiany w mózgu, i właśnie tak się człowiek prezentuje.

– Dziękuję, do widzenia – powiedział szybko Stefan. Szarpnął za uchwyty torby i ruszył do wyjścia.

Nie zrobił nawet dwóch kroków. Syrena karetki zawyła przeraźliwie, a w sklepie pojawiło się kilku sanitariuszy. Czerwone komplety z odblaskowymi elementami zawirowały Stefanowi w oczach. Okrążyli go i zacieśniali okrąg.

– Stefan? – zapytał jeden z sanitariuszy.

– Słucham? – Stefan odpowiedział zmieszany.

– Dobra, to on. Bierzemy. – Złapali Stefana pod ramię i chwilę później przypinali go do łóżka w sanitarce. Założyli dziwną maskę na twarz i puścili tlen.

Stojący najbliżej Stefana lekarz podniósł rękę i patrzył na zegarek.

– Trzy, dwa, jeden... – odliczał.

Stefan krzyknął z bólu. Zwiął się i krzywił. Na jego twarzy wystąpił pot. Poczul ukłucie i kolejne. Ktoś wbił mu coś w zgięcie w łokciu, to była kroplówka. Sprawdzali jego tętno, ciśnienie. Wepchnęli tabletki do ust, a on przełknął je wraz z wlaną do ust wodą.

– Właśnie dostajesz zawału – powiedział ten od zegarka. – Mamy opracowany system wykrywania zawałowców. Zaraz jedziemy po następnego. Zostało nam piętnaście minut, żeby odwieźć cię do szpitala i ruszyć w drogę.

Stefan nie dowierzał. Patrzył się głupio w twarz mówiącego i, żeby być szczerym, wcale nie wiedział, o czym tamten mówił.

Hamulec, pisk opon, trzask zamka w drzwiach. Kółka łóżka sunęły po szynach z szumem. Wieźli gdzieś Stefana. Widział chodnik, jakieś drzewka, ludzi w białych fartuchach i po prostu ludzi. Duże, szklane drzwi rozsunęły się przed nim. Teraz dostrzegał tylko podłużne lampy przelatujące przed oczami. Ktoś, kto go pchał, biegł. Podbiegła kolejna osoba – lekarka – sekundę później lekarz. Wymieniali między sobą spostrzeżenia. Czytali kartę Stefana i w biegu wypełniali kolejne rubryki, dopisywali coś na dodatkowych kartkach i doczepiali do tabliczki. Znaleźli się przy windzie. Drzwi rozsunęły się z sykiem, na

brzuchu Stefana wylądowała blaszana podkładka z kartą choroby. Drzwi się zasunęły i rozsunęły chwilę później kilka piętér niżej. Był w piwnicy. Ktoś wyciągnął go z windy i pchnął na drugi koniec korytarza. Pokonał całą jego długość siłą rozpędu. Kółka od łóżka kwiczały niemiłosiernie. Stefan poczuł, że z dużego palca u nogi zwisa mu sznurek, a do niego przyczepiona była karteczka. Nie wiedział, co było na niej napisane. Nie mógł się ruszyć, przywiązali go do metalowych rurek.

Uderzył wystającymi stopami w kolejne drzwi. Te uchyliły się lekko. Stefan usłyszał zgrzyt, potem szelest i świst zamka błyskawicznego. Światło zgasło. Stefan nic nie widział. Coraz trudniej mu się też oddychało. Błądnik zadziałał. Stefan ewidentnie spadał. Nie spadał długo, bo zaraz po tym dziwnym uczuciu w żołądku grzebnał w coś z hukiem. Czuł folię. Czuł mdlący zapach folii, ale przez niego przebijała się nieśmiała woń drewna. Coś opadło z trzaskiem, uderzając Stefana w nos. Drgania uderzeń roznosiły się po całym jego ciele. Potrójne uderzenia. Dwa przy stopach, w okolicy kolan, bioder, ramion i nad głową. Stefan zrozumiał.

– O Boże! – jęknął.

Wznosił się, obracał, przesuwał. Może nie on, ale czuł, że właśnie coś takiego się dzieje. Opadł na coś, coś opadło na niego i coś opadło na coś. Silnik zatrząsł przyczepą i Stefan ruszył. Jechał może pięć minut, a może pięćdziesiąt. Adrenalina pozbawiła go jakiegokolwiek poczucia rzeczywistości, czy choćby nawet poczucia czasu. Skrzypienie zardzewiałych zamków i hałas otwieranej metalowej burty. Nie ma opcji – leciał na ryj, na szyję. Upadek był bolesny. Stefan płakał. Oddychał przez zaciśnięte zęby, przez co pluł śliną na folię, która przyklejała mu się do twarzy.

– W imię Ojca i Syna – mówił ksiądz nad trumną. Przeszedł do kolejnej, a w zasadzie to zrobił tylko jeden krok w bok. – W imię Ojca i Syna... W imię Ojca i Syna... W imię Ojca i Syna...

Stefan usłyszał jakiś głos z zewnątrz:

– W imię Ojca i Syna – głos, przez moment wyraźny, oddalał się i cichł.

Uderzenie, ale nie punktowe, jakby większą płaszczyzną, przerwało nasłuchiwanie. Kolejne, bardziej głuche i następne, mniej słyszalne. Ziemia.

– O mój Boże! – krzyczał, ale jego krzyk zagłuszyły potężne silniki, słyszalne nawet pod powierzchnią gruntu.

Ludzie uczestniczący w ostatniej, pożegnalnej mszy rozpierzchli się w różne strony. Jedni do sklepów, inni do domów, kolejni nie wiadomo gdzie.

– Chłopcy, szybciej, szybciej! Kościół ma tu stać na wczoraj! – pan Heniek krzyczał do kumpli w ciężkich maszynach wjeżdżających na plac.

– Panie Heńku, to w końcu kościół czy market? – zapytał jeden z pracowników, wychyliwszy się przez otwarte okno zabłoconego stara.

– A co, powiedziałem: kościół? – zapytał pan Heniek. Machnął ręką po tym, jak robotnik mu przytaknął, i dodał: – Market, market. Zresztą jeden pies. ○